

3. miejsce

Beata Anna Dziemidowicz

Godło: Tereska

Godziny, których nie było

Od wiosny do jesieni siedział przed domem przy małym stole, który pamiętał chyba jeszcze czasy, kiedy ulicy nie wykładano kocimi łbami. Miał przed sobą szkło powiększające, pudełka ze śrubkami i kilka zegarków rozebranych tak, jak rozbiera się rzecz, której trzeba najpierw wybaczyć, zanim da się ją naprawić. Ludzie przywykli do niego jak do dzwonu na wieży i czerwonych pelargonii w jego oknach. Kobiety ze sprawunkami stawiały przy nim koszyki, chłopcy zeskakiwali z rowerów, a bury kot układał się na parapecie jak strażnik cudzych tajemnic.

— Panie, znowu stanął — mówiła czasem któraś z kobiet, podając mu zegarek po mężu.

Podnosił wtedy oczy, duże i ciemne mimo wieku.

— Zegarki nie stają. To tylko ludzie tak mówią.

Śmiali się z tego. Trochę go szanowali, trochę mieli za dziwaka. Był wysoki, postawny, z siwą brodą i rękawami

koszuli podwiniętymi do łokci. Wielkie dłonie nad małym kółkiem zębatym stawały się niemal czułe. Nikt nie wiedział, że w dolnej szufladzie stołu trzymał pięć zegarków, których nigdy nie naprawiał dla nikogo. Pierwszy był tani i porysowany. Drugi zbyt elegancki jak na niego. Trzeci chodził za szybko. Czwarty od lat spóźniał się o siedem minut. Piąty leżał w granatowym pudełku. Pod nim – złożona na czworo kartka. Dostał go od niej w roku, którego daty nie pamiętał. Pamiętał natomiast burzę.

Siedzieli wtedy pod drewnianym gankiem, gdzieś daleko od tego miasteczka. Deszcz walił w dach, pachniało moką ziemią, miętą i różami. Ona zawsze umiała znaleźć w powietrzu zapach, którego on nie zauważał.

– Moglibyśmy wyjechać – powiedziała.

– Gdzie?

– Wszystko jedno.

– Nie ma takiego miejsca.

– Jest. Tam, gdzie nas nie znają.

Powiedziała to spokojnie, jakby mówiła o pociągu odchodzącym codziennie o tej samej godzinie. Potem zaczęła opowiadać dom. Nie o domu. Dom. Stół miał stać przy oknie. Ganek od południa. Z tyłu ogród, róże przy płocie, między nimi mięta, szalwia i tymianek. Dwa psy, choć on upierał się przy jednym. Kot będzie spał na parapecie. Ona będzie pisała

na ganku, on czytał, dzieci trzaskały drzwiami, gubiły buty i obrywały niedojrzałe jabłka.

— Jakie dzieci? — zapytał z uśmiechem.

Spojrzała na niego tak, jak patrzy się na kogoś, kto zadał pytanie zupełnie niepotrzebne. I podała imiona. Jedno dla córki. Drugie dla syna.

Po latach zapomniał nazwisk, twarzy, nawet słów niektórych modlitw. Tych dwóch imion nie zapomniał. Był już wtedy związany słowem wypowiedzianym wiele lat wcześniej, zanim przekonał się, że można złożyć jedną obietnicę na całe życie, a potem latami pytać, komu właściwie — Bogu, ludziom czy własnemu lękowi.

Ona nigdy nie kazała mu wybierać między nią a Bogiem. Wiedziała, że przegrałaby bez względu na odpowiedź. Oboje wierzyli zbyt mocno, żeby wiara mogła im cokolwiek uprościć. — Ja nie chcę od ciebie wielkiego życia — powiedziała tamtej nocy. — Chcę zwyczajnego.

I chyba właśnie dlatego przestraszył się bardziej, niż gdyby zażądała od niego wszystkiego. Bo wielkie życie można odrzucić. Zwyczajnego człowiek pragnie całym ciałem. Chleba rano. Jej włosów na poduszce. Czerwonego wina wieczorem. Dziecka śpiącego w drugim pokoju. Mokrych butów w sieni. Jej dłoni na karku. Burzy oglądanej z ganku.

— Zrobię dla ciebie wszystko — powiedziała.

Nie odpowiedział. Dopiero później zrozumiał, że trzeba uważać na słowo „wszystko”, bo los ma skłonność do brania słów dosłownie. Czasem największą rzeczą dla drugiego człowieka okazuje się właśnie to, czego zrobić się nie chce.

Rozstali się bez wielkich słów. Wielkie słowa można potem pamiętać. Oni pamiętali ciszę. Przez pewien czas pisali. Jej listy były długie, pełne opowieści o dzieciach ze szkoły, cudzych błędów ortograficznych, wierszy i róż, które przemarzły. Uczyła polskiego. Kiedy ktoś nie miał zeszytu, dawała swój, a gdy nie miał śniadania, udawała, że sama nie jest głodna. Nie pisała, że cierpi. Pisała: „Dziś pierwszy raz zakwitła róża pod oknem”. Albo: „Jedna z dziewczynek napisała wypracowanie tak smutne, że musiałam postawić jej piątkę, choć zrobiła siedem błędów”. Ból potrafiła przemienić w coś, co innym wydawało się uśmiechem. Może dorosłość polega nie na tym, że człowiek przestaje cierpieć, lecz że uczy się nieść ból tak, by nie ranić nim innych.

Z czasem listy stawały się krótsze. Potem były kartki na święta, kilka zdań raz do roku. Ale nigdy nie zniknęła całkiem.

Do jednego z zegarków włożyła małą kartkę. „Mówiłeś, że czas należy do Boga. Może i tak. Ale miłość jest jedyną rzeczą, która potrafi Mu trochę tego czasu ukraść”. Śmiał się wtedy. Powiedział, że to bluźnierstwo.

— To nie bluźnierstwo — odpowiedziała. — To nadzieja.

Innym razem powiedziała mu, że modli się o jedną rzecz.

- O co?
 - Żeby umarła pierwsza.
- Zdenerwował się.
- Nie mów tak.
 - Dlaczego?
 - Bo nie.
 - Nie chcę zostać na świecie ani jednego dnia bez ciebie.

Powiedziała to lekko, niemal żartem. Ale on wiedział, że w jej ustach najpoważniejsze rzeczy zawsze brzmiały najciszej.

Tego popołudnia, wiele lat później, słońce leżało na bruku jak cienka warstwa miodu. Dzwon wybił piątą. Chłopcy przejechali na rowerach, kot przeciągnął się na parapecie. Listonosz przyszedł później niż zwykle. Nie powiedział nic. Podał mu tylko telegram. Starzec przeczytał raz. Potem drugi, wolniej. „Zmarła dziś rano. Prosiła zawiadomić Pana”.

Listonosz stał chwilę, jakby czekał.

- Ktoś bliski? – zapytał.

Starzec złożył kartkę.

- Tak.

Po chwili dodał:

- Bardzo daleki.

Kiedy został sam, otworzył dolną szufladę i wyjął piąty zegarek. Nie chodził. Zdjął szkło, odkręcił kopertę, wyjął mechanizm. Ręce miał spokojne. Tylko raz śrubka wypadła mu

z palców i długo szukał jej między deskami stołu. Zapadł wieczór. Pelargonie w oknach zrobiły się prawie czarne. Nad dachami przeleciały ptaki i odezwał się dzwon. Starzec pracował. Myślał o domu, którego nie było. O stole przy oknie. O różach przy płocie. O dwóch psach, choć przecież wystarczyłby jeden. O kocie śpiącym na parapecie. O córce i synu, którzy mieli imiona, chociaż nigdy nie przyszli na świat. I po raz pierwszy pomyślał, że może człowiek nie żyje tylko tym, co mu się wydarzyło. Może równie mocno żyje wszystkim tym, czego zabrakło. Może gdzieś pod życiem, które widać, biegnie drugie, niewidzialne, i dopiero oba razem są prawdą. Bo może pamięć nie po to jest, żeby przechowywać to, co było, lecz żeby ocalać także to, czego nie było naprawdę. Człowiek całe życie sądzi, że wybiera między jedną drogą a drugą, a dopiero na starość widzi, że obie szły z nim równolegle. Jedną chodził, drugą nosił w sobie. I czasem ta druga okazuje się cięższa od pierwszej, bo z drogi przebytej można wrócić wspomnieniem, a z nieprzebytej tylko marzeniem.

Nie wiedział, czy Bóg tego od nich chciał. Po tylu latach nie był już pewien, czy Bóg chce od człowieka cierpienia. Może tylko człowiek, nie umiejąc zrozumieć własnych decyzji, podpisuje nimi Boga jak cudzym nazwiskiem. A może Bóg milczy właśnie przy najważniejszych wyborach, bo gdyby

odpowiadał za człowieka, człowiek nie miałby już czego nazywać swoim losem.

Przed północą zegarek ruszył. Najpierw nieśmiało. Tik. Potem drugi raz. Tik. Przyłożył go do ucha. Słuchał długo, jakby po drugiej stronie mechanizmu ktoś szedł ku niemu z bardzo daleka, przez wszystkie te godziny, których nie było. Pomyślał, że jej życzenie się spełniło. Umarła pierwsza. A przecież została z nim: w zapachu mięty po deszczu, w czerwonych różach, w dwóch imionach, których nikt poza nimi nie wypowiedział jak imion własnych dzieci. I wtedy zrozumiał coś, czego żaden zegarek nie mógł mu wcześniej pokazać. Czas może zabrać człowiekowi twarz, głos, miejsce przy stole, nawet pewność, że wydarzenie pamięta się tak, jak było naprawdę. Nie potrafi jednak odebrać tego, co nigdy nie dostało ciała. Być może dlatego niespełnione życie starzeje się najwolniej. Uśmiechnął się.

— No — powiedział cicho. — Teraz dobrze.

Tylko nie było wiadomo, czy mówił do zegarka.